

## PROLOG

– Wiem, co zrobił twój tata.

Tamtego roku skończyłam dziesięć lat. Siedziałam właśnie w szkolnej stołówce, gdy przysiadł się do mnie kolega z klasy i w moim uchu rozległ się ten gorączkowy szept.

Odłożyłam kanapkę z mortadelą i odparłam:

– Napisał książkę.

Nie ekscytowałam się zbyt zawrotną karierą pisarską swojego staruszka. Fakt, mówił głośniejszym głosem niż kiedyś. Pił więcej niż zwykle – chociaż już przedtem pił dużo – i więcej podróżował, zostawiając mnie pod opieką swojej asystentki Melindy, młodej kobiety, która miała teraz klucze do naszego domu. Która mówiła mi, że mój ojciec jest zbyt zajęty, by podpisać mi klasówkę z matematyki albo przepisać z ortografii.

Sukces ojca olśnił świat literacki – na półkach i na listach bestsellerów jego książki zajmowały miejsca tuż obok powieści Stephena Kinga, a bywały tygodnie, że sprzedawały się lepiej niż one. Sęk w tym, że w Ojai ojciec zaczął zwracać na siebie uwagę, budząc wspomnienia i prowokując szepty, które docierały do uszu dzieci.

Tamten chłopiec, którego imienia nie pamiętam, pokręcił wtedy głową. Oczy aż mu błyszczały na myśl o tym, że to on będzie

tym, który mi powie. Który zrujnuje mi dzieciństwo w czasie przerwy śniadaniowej.

– Twój tata zabił swojego brata i swoją siostrę. Zamordował ich w ich własnym domu.

– Kłamiesz! – zawołałam. – Po prostu mi zazdrościsz.

Ale reakcja innych dzieci siedzących dokoła nas sprawiła, że mój głos nie zabrzmiał tak pewnie, jak bym chciała. Na ich twarzach nie zobaczyłam pogardliwego sceptycyzmu, którego się spodziewałam. Raczej milczący szok, że ktoś odważył się powiedzieć głośno to, co wszyscy wiedzieli.

Tak to się zaczęło. Tak poznałam mroczną tajemnicę swojej rodziny.

\*

Wkrótce morderstwo Danny'ego i Poppy Taylorów stało się opowieścią przekazywaną szeptem na przyjęciach piżamowych wraz z historiami o seansach spirytystycznych i zjawach ukazujących się w lustrze. W czerwcu 1975 roku dwoje nastolatków takich jak my zostało zadźganych nożem w czasie, gdy całe miasto świętowało początek lata na dorocznym Świącie Ojai sto metrów od ich domu.

W mojej klasie każdy uważał się za eksperta od tej opowieści, chociaż kiedy zaczęła wśród nas krążyć, Danny i Poppy nie żyli już od piętnastu lat. Mówiono, że Poppy miała tylko wstąpić do domu po sweter, a potem spotkać się z najlepszą przyjaciółką przy karuzeli. Że wpadła w zasadzkę i została zamordowana we własnym pokoju, a jej starszy brat Danny w korytarzu i pewnie mógłby uratować siostrę, gdyby udało mu się pokonać jeszcze kilka metrów.

Wygrzebywano z szaf stare wycinki z gazet i przekazywano sobie ukradkiem na szkolnych przerwach, studiowano klasowe zdjęcia sprzed lat. Drobna sylwetka Poppy, falowane włosy, które wyglądały, jakby trudno je było rozczesać, obsypane piegami

policzki. Niewykorzystany potencjał bijący z twarzy Danny'ego, jego uśmiech promienny jak niespełniona obietnica.

Dyskutowano o tym, gdzie go znaleziono, przypuszczano, że za wszelką cenę usiłował dotrzeć do młodszej siostry, by jej bronić z narażeniem życia. Danny nie zdążył i Poppy zginęła. Ich imiona stały się publiczną własnością, którą można było wygrzebywać z przeszłości i wykorzystywać do teraźniejszych celów. „Żebyś nie skończył jak Danny i Poppy”. Danny i Poppy były podszyte rutynowe pytania rodziców: „Czy w domu będzie ktoś dorosły?”

Całe moje dzieciństwo nagle stało się zrozumiałe. Podążające za nami ściszone głosy. Pusta przestrzeń w kolejce do kasy w supermarkecie. Telefon, który nigdy nie dzwonił, gdy liczyliśmy na propozycje wspólnej zabawy albo zaproszenia na urodziny. Zawsze zakładałam, że chodzi o moją mamę, która odeszła, kiedy miałam pięć lat. Wstyd z tego powodu towarzyszył mi do czasu, aż jego miejsce zajął inny, większy.

Gdy już wiedziałam, bez trudu znalazłam rodzinne albumy upchnięte na dnie szafy ojca.

Wczesne zdjęcie, opisane pochyłym, ozdobnym pismem babci: *Danny – dziewięć lat, Vince – osiem lat, Poppy – sześć lat*. Siedzą w piżamach na brązowej prążkowanej kanapie, z kubkami gorącej czekolady w dłoniach. Inne, zrobione kilka lat później, na którym grają w karty przy niewielkim kuchennym stole z laminowanym blatem. W tle majaczy rozmyta sylwetka ich matki, w popielniczce przy krawędzi kadru tkwi papieros ojca, z którego unosi się delikatna smużka dymu.

Śledziłam upływ czasu. Na zdjęciach widać, jak rodzeństwo dorasta, kolejne lata i dni przybliżają wszystkich troje do 13 czerwca 1975 roku.

Trzy lata przed. Myją na podjeździe rodzinne kombi: Danny w szortach Ocean Pacific trzyma wąż ogrodowy, ojciec – chudy trzynastolatek bez koszulki – pochyla się z gąbką nad maską samochodu, a jedenastoletnia Poppy wrzeszczy, bo wygięty w łuk strumień wody leje jej się na plecy.

Dwa lata przed. Danny na szkolnej uroczystości: stoi między rodzicami w garniturze, wysoki, przystojny. Oni – jeszcze niezałamani.

Rok przed. Piętnaste urodziny ojca. Nachyla się nad tortem, piorunując wzrokiem osobę, która robi zdjęcie.

Dziesięć miesięcy przed. Zdjęcie klasowe Poppy, dziewiąta klasa. Uśmiecha się, lekko odsłaniając przekrzywioną jedynekę, której pewnie nienawidziła. Długie włosy, spinki tuż nad uszami. Zastanawiałam się, czy mogła przeczuwać, co ją spotka przed końcem roku szkolnego. Gdyby tylko wiedziała, że to ostatnie zdjęcie klasowe w jej życiu! Pewnie po prostu zastanawiała się, czy jest dobrze uczesana albo jak jej pójdzie sprawdzian z matmy na następnej lekcji.

Wciąż na nowo czytałam tę dziesięcioletnią retrospektywę, przerabiając te same teorie, zadając sobie te same pytania, dręczące każdą osobę, która знаła Danny'ego. Która kochała Poppy. Wszyscy mówili o potencjale Danny'ego, o jego popularności i poczuciu humoru. Opisywali zaangażowanie Poppy w walkę o prawa kobiet. Jej nieustępliwość. Jej marzenia o kręceniu filmów.

Mówiono też o moim ojcu. O jego skłonności do niewybrednych żartów balansujących na granicy okrucieństwa. O tym, jak usiłował – bezskutecznie – się dopasować. Wtedy wszyscy zastanawiali się, jakim cudem Vincent poderwał tamtą dziewczynę.

Tę, która później miała zostać moją matką.

Plotki odsłaniały szczegóły dotyczące mojej przeszłości: impulsywność ojca. Zagubienie mamy. Energię cioci i charyzmę wujka.

Jednak jako ghostwriterka – wysłuchująca opowieści innych i na tej podstawie pisząca książki – wiem, jak niezwykle trudno dotrzeć do czegoś, co druga osoba stara się ukryć. Po śmierci tej osoby jej sekrety stopniowo przykrywa kurz czasu, aż w końcu nie ma nikogo, kto by o nich pamiętał.

Teraz zostało już tylko morderstwo sprzed pięćdziesięciu lat, będące częścią mojego dziedzictwa nie mniej niż sekwencja DNA czy moje brązowe włosy.

Milion razy wyobrażałam sobie trzynasty czerwca 1975 roku. Oczami wyobraźni oglądałam ten dzień jakby z góry, śledzę przepływające jak film obrazy. Nastolatka biegnie do domu po sweter, budynek stoi zaledwie kawałek dalej. Czy świecą już latarnie uliczne? Koroner określił godzinę jej zgonu na siódmą wieczorem, śmierć Danny'ego nastąpiła zaraz potem.

Poppy nie miała pojęcia, co ją spotka w domu. Jakim koszmarem okażą się jej ostatnie chwile. Wyobrażałam je sobie na wszelkie możliwe sposoby i wiem, że nie miała szans. Zgodnie z wynikami sekcji zwłok mój ojciec w ciągu godziny ze środkowego dziecka zmienił się w jedyne.

Niektórzy twierdzą, że trauma uczyniła z niego jednego z najpłodniejszych autorów horrorów jego pokolenia. Inni nie są tak wspaniałomyślni.

Mój ojciec jest utalentowanym pisarzem, kłamcą z zawodu i z powołania. Nie jestem aż tak naiwna, żeby wierzyć we wszystko, co mi opowiedział. Proponuję, żebyście sami ocenili, co w tej historii jest prawdą, podobnie jak ja musiałam to zrobić.

Olivia Taylor Dumont

13 czerwca 2025

## ROZDZIAŁ 1

*Marzec 2024*

Myję właśnie kubek po kawie – gorąca woda spływa do miedzianego zlewu – kiedy dzwoni telefon. Wycieram ręce i podchodzę do długiego stołu jadalnego, który wiele lat temu kupiłam na pchlim targu.

Sięgam po wibrującą komórkę, spodziewając się zobaczyć na wyświetlaczu imię i twarz Toma. Zawsze dzwoni do mnie w drodze do pracy, dzięki czemu podróż upływa mi na wałkowaniu ze mną coraz to nowych tematów. Dlaczego członkowie kongresu zachowują się jak banda rozpuszczonych dziesięciolatków. Albo kto naprawdę zabił JonBenét Ramsey. Czasem Tom próbuje mnie uspokoić, gdy panikuję, że od roku nie mam zleceń. Tak czy inaczej, odkąd się poznaliśmy, nie przestajemy rozmawiać. Nareszcie wiem, co ludzie mają na myśli, mówiąc, że ktoś jest ich drugą połówką. Tom jest moją drugą połówką, a ja jego.

Tym razem jednak nie dzwoni Tom, tylko moja agentka Nicole. Jedyna osoba z branży, z którą jeszcze czasem rozmawiam. Z początku koleżanki i koledzy dzwonili, żeby zapytać, co u mnie, zaproponować pomoc. Zapraszali na kawę albo drinka. Wysyłali linki z informacjami o warsztatach twórczych i festiwalach literackich. Kiedy wciąż odrzucałam zaproszenia,

ich miejsce zajęły esemesy i maile z wyrazami wsparcia, a potem i one się urwały.

Wstępuje we mnie nadzieja. Może moje wykluczenie nareszcie się skończy.

Zerkam przez okno na drewniany budynek mieszczący moją pracownię i zastanawiam się, od ilu miesięcy tam nie zaglądałam. Od sześciu? Dziesięciu? Myślami znowu łączę się z Tomem – człowiekiem, który go zaprojektował – i wyobrażam sobie jego radość na wieść, że nareszcie zlecono mi książkę do napisania.

– Mam nadzieję, że dzwonicz w sprawie pracy – mówię.

Minął rok, odkąd ze sceny ważnego festiwalu literackiego – siedziałam tam jako jedyna kobieta zaproszona do uczestnictwa w panelu poświęconym ghostwritingowi w dwudziestym pierwszym wieku – storpedowałam swoją karierę.

– Owszem – mówi Nicole, a potem milknie, jakby szukała odpowiednich słów. – Tyle że to trochę... nietypowe zlecenie.

Odsuwam przeszkłone drzwi i wychodzę na wyłożone kamieniami płytami patio, z którego rozpościera się widok na kanion, a jeśli widoczność jest dobra, również na ocean. Dzisiaj jednak niebo jest szare, a zieleń drzew rosnących poniżej mojego domu ledwie zaczyna się wyłaniać z porannej mgły. Po tym, jak w wieku czternastu lat opuściłam Ojai, dopiero w tym domu, stojącym wysoko na skraju kanionu Topanga i kupionym za pierwszą dużą zaliczkę – na poczet biografii młodej golfistki, która przebyła drogę z rodziny zastępczej do ligi narodowej – poczułam się mniej więcej u siebie.

Kocham ten dom, jego ściany z gipsowanego kamienia, delikatną hydraulikę i dziwaczne zakamarki. Nie każdy chce mieszkać na końcu drogi pnącej się po zboczach kanionu, pół godziny jazdy od podstawowych zdobyczy cywilizacji. Nie wspominając o pożarach, które co roku stawiają mieszkańców Topangi w stan najwyższej gotowości, zmuszając do analizowania prognoz pogody i trzymania w bagażniku spakowanej torby na wypadek natychmiastowej ewakuacji. Ale ja byłam przyzwyczajona do zagrożenia.

Jego cień wydawał się znajomy, podobnie jak prowadząca do tego domu wiejska droga, z kolejnymi zakrętami wylaniającymi się jak wspomnienia. Jeżeli dorastając, człowiek stale słyszy, że jego ojciec jest mordercą, stopniowo uczy się kompartmentalizacji, lokuje zagrożenie w części jaźni, którą na co dzień można ignorować, podświadomie zachowując jednak czujność. Przygotowując się na nie. Czekaając w gotowości.

– Po prostu powiedz mi, o co chodzi – proszę.

– Skontaktowali się ze mną ludzie Vincenta Taylora. Wiesz, tego autora horrorów. Chcą, żebyś napisała jego następną książkę.

Brzmienie jego nazwiska wywołuje w mojej głowie taki zamęt, że niemal nie czuję powiewu wiatru na odsłoniętych ramionach i kostkach. Vincent Taylor, mój ojciec. Nie rozmawiałam z nim od co najmniej dwudziestu lat. W moim obecnym życiu nikt nie wie, że jesteśmy spokrewnieni. Stał się jądrem ciemności, które odgradziłam od reszty swojego życia.

Nicole próbuje wypełnić ciszę, która zapadła na linii.

– Wiem, że to nie twoja specjalność, ale zawsze to praca, poza tym proszą właśnie o ciebie.

– Nie jestem powieściopisarką – odzywam się wreszcie. Mój głos brzmi bardziej piskliwie niż zazwyczaj. Odchrząkuję, żeby ukryć zdenerwowanie. – Mnóstwo osób zrobiłoby to lepiej ode mnie.

Słyszę, jak Nicole przesuwają rzeczy na swoim biurku, i wyobrażam sobie widok z okna jej biura na Manhattanie: zakorkowaną ruchliwą ulicę w dole i tłumy przechodniów.

– Wiem, ale on podobno nalega, żebyś to była ty – mówi, a potem zniża głos. Słyszać w nim ciekawość. – Muszę zapytać: skąd go znasz?

Przysiadam na jednym z żelaznych krzeseł stojących wokół ogrodowego stołu. Nad moją głową przecinają się pnącza glicynii. Wiatr kołysze wiszącą lampą, po ścianach kanionu wspina się podmuch przypominający westchnienie.

– Nie znam – odpowiadam.

To nie jest kłamstwo. Odcięcie się od ojca kosztowało mnie wiele trudu. Mieszkalam za granicą, dopóki nie nabrałam pewności, że amerykańskie media zapomniały o istnieniu córki Vincenta Taylora. W 2005 roku wróciłam do kraju z podwójnym obywatelstwem, posługując się nazwiskiem człowieka, który, zanim skończyłam trzydziestkę, przez pewien czas był moim mężem. Nazywałam się teraz Olivia Dumont. Ale już znacznie wcześniej przestałam uważać Vincenta Taylora za kogoś, kogo znam.

Po powrocie zaczęłam pracować jako dziennikarka, przekonana, że chcę pisać o ludziach takich jak mój ojciec – którzy naginają reguły, ogrywiają system i korzystają z przywilejów. A jednak nie cierpiałam tej pracy. Ciągłej walki o to, żeby dostać temat. Czajenia się na ludzi w parku, supermarkecie. Wydzwaniania, wyciągania z nich historii, których nie chcieli opowiadać. Robiłam to samo, co wcześniej robiono mnie, zanim zmieniłam nazwisko i zniknęłam.

Ghostwritingiem zajęłam się przez przypadek. Koleżanka ze studiów magisterskich została redaktorką w dużym nowojorskim wydawnictwie. Zwróciła się do mnie w sprawie projektu, którym kierowała – wspomnień ikony kina lat sześćdziesiątych. Nie zdradziła, dlaczego poprzedni ghostwriter wycofał się z przedsięwzięcia. Znalazła się w kłopotliwej sytuacji i szukała kogoś, kto ukończy zlecenie w terminie. Zgodziłam się i odkryłam, że jestem w tym dobra.

Od tamtej pory wypełniałam świat książkami o silnych kobietach. O pierwszej Amerykance azjatyckiego pochodzenia, która poleciała w kosmos. O polityczkach zmieniających sytuację prawną kobiet. Naukowczyniach będących czołowymi ekspertkami w swoich dziedzinach. Uwielbiam anonimowość, jaką zapewnia ta praca, możliwość wślizgiwania się w skórę innych i pomieszkowania w ich życiu przez okres potrzebny do napisania dobrej historii. Nie ma szans, żeby ktoś dowiedział się, kim jestem, ani tym bardziej przypomniał sobie, kim jest mój ojciec. Jestem niewidzialną ręką nad stronicą, a nie nazwiskiem na okładce.

– Cóż, proponują dobre pieniądze – ciągnie Nicole. – On mieszka w Ojai, więc to w ogóle brzmi jak niezła fucha.

– Nie masz dla mnie czegoś innego? – pytam w nagłym przypływie rozpaczy. To pytanie zadawałam już niezliczoną ilość razy. W esemesach, mailach, rozmowach telefonicznych. Ale w rzeczywistości chciałabym wiedzieć, jakim cudem po tylu latach sukcesów znalazłam się w tym miejscu.

Na tamtym festiwalu powiedziałam przecież po prostu to, co każdy myślał. John Calder, facet, który siedział na środku sceny, napisał właśnie książkę o polityku skazanym za handel ludźmi. Książka była odrażająca i mizoginistyczna. „Czy dla ciebie wszystko jest kwestią ceny, John? Czy istnieje jakaś granica, której byś nie przekroczył? Osoba, której nie wykreowałbyś na gwiazdę, bez względu na wysokość zaliczki?”, zapytałam, kiedy przyszła moja kolej na zabranie głosu.

Nie pamiętam już, jak brzmiało pytanie zadane przez prowadzącego, cenionego recenzenta „New York Timesa”. Wciąż jednak słyszę, jak ludzie na widowni wstrzymują oddech, widzę, jak obracają głowy w stronę mojego miejsca na skraju sceny, fotela w innym odcieniu niebieskiego niż te zajmowane przez pozostałych uczestników, jakby moja obecność była wynikiem jakiejś późniejszej decyzji. Ledwie wypowiedziałam te słowa, a już wiedziałam, że popełniłam błąd. Prowadzący odchrząknął. „Proszę nam opowiedzieć, co pani naprawdę czuje, pani Dumont”, powiedział.

Na widowni rozległ się śmiech i rozmowa potoczyła się dalej, ale nie miałam wątpliwości, że powinnam była ugryźć się w język. Publiczne wywołanie do odpowiedzi takiego faceta jak John Calder, z długą listą bestsellerów na koncie i koneksjami we wszystkich możliwych kręgach władzy, od polityki po przemysł rozrywkowy, niezależnie od niemoralnych wątków wprowadzanych przez niego do dyskursu publicznego, było błędem, którego Nicole nie zdołała wymazać.

Wydawca książki, którą wtedy promowałam, zażądał, bym publicznie przeprosiła Caldera. Zamiast jednak to zrobić, podjęłam

w mediach społecznościowych kruczają przeciwko mizoginii w branży wydawniczej, promującej mężczyzn takich jak John Calder. Grzmiałam, że płaci się im dwukrotnie więcej niż ich koleżankom po fachu, a do tego przyznaje większy budżet na marketing, który rozdmuchuje wyniki sprzedaży. Co z kolei zapewnia im jeszcze większe zaliczki. Byłam wyczerpana wysiłkiem, który musiałam włożyć w zdobycie drugiej pozycji. Oraz zirytowana tym, że dla osób decyzyjnych talent ma tak niewielkie znaczenie. Mój los przypieczętowały cztery ostatnie posty w wątku:

(7/10) Kiedy większość z nas ciężko pracuje, żeby głosy osób zmarginalizowanych wybrzmiały w przestrzeni publicznej, a historie ważne dla wspólnego dobra mogły zostać usłyszane, John Calder obrat inny kierunek.

(8/10) Może po prostu swój do swego ciągnie. W końcu z kim przestajesz, takim się stajesz, a John Calder przestaje z najbardziej obrzydliwymi i zdeprawowanymi osobnikami w naszym społeczeństwie.

(9/10) Mam na myśli tego polityka pedofila. CEO, będącego równocześnie białym supremacjonistą. Sędziego, który przymyka oko na gwałt, żeby „nie rujnować życia młodemu człowiekowi”.

(10/10) Nie mogę się nadziwić, że są wydawcy, którzy chcą wspierać takich ludzi. Którzy uważają, że John Calder zasługuje na pieniądze i platformę dla swoich poczynań.

To z ich powodu John Calder rozpętał ogólnokrajową kampanię medialną przeciwko mojej próbie napiętnowania go. A potem złożył pozew do sądu, twierdząc, że przeze mnie stracił dwa zlecenia, bo wydawcy woleli obrać mniej kontrowersyjny kierunek. Rozprawa toczyła się przed sądem tego samego stanu, w którym

odbywał się festiwal literacki, w dodatku prowadził ją sędzia aż przebierający nóżkami, żeby pokazać pyskatej babie, gdzie jej miejsce. Przywalił mi pół miliona dolarów zadośćuczynienia i pouczył, żebym rozważniej dobierała słowa. Żebym nie zachowywała się tak emocjonalnie. Żebym się uspokoiła.

I chociaż ludzie okazywali mi ciche wsparcie, nie obejmowało ono rekomendowania mnie wydawcom. Problemu nie dało się rozwiązać, zmieniając nazwisko i zaczynając od zera. Żeby w tym zawodzie dostawać ważne zlecenia, trzeba mieć solidny dorobek, a mój zaliczał się do najlepszych. Do czasu.

– Wiesz, że dzwoniłam wszędzie – mówi teraz Nicole. – Rozmawiałam z każdym, kto był mi winien jakąś przysługę. Musimy to po prostu przeczekać.

Szczerze mówiąc, dziwiłam się, że jeszcze nie wycofała się ze współpracy ze mną.

Chciałabym odrzucić tę propozycję. Muszę ją odrzucić – nie tylko dlatego, że odcięcie się od rodziny i związanej z nią traumy tyle mnie kosztowało, ale także dlatego, że nie chcę, by ojciec mną manipulował. Bo nie wierzę, że chodzi tu o pracę.

– Sądziłam, że Vincent Taylor już od paru lat jest na emeryturze – mówię.

– Tacy faceci jak on lubią organizować sobie wielki powrót – zauważa Nicole. – Chociaż kiedy rozmawiam z jego ludźmi, odnoszę wrażenie, że coś im nie idzie. Chyba pojawiły się jakieś przeszkody. Więc jeżeli teraz ktoś zdoła napisać im tę książkę w terminie, bez dalszych komplikacji, mogą być zainteresowani współpracą przy kolejnych projektach. – Milknie dla podkreślenia wagi swoich słów. – To mogłoby na nowo otworzyć przed tobą drzwi.

Podchodzę do brzegu patio, który jest równocześnie granicą mojej działki. Poniżej, za ręcznie robioną balustradą z drewna starego dębu, rozciągają się tereny należące do lasów państwowych. Wpatruję się w zachmurzoną przestrzeń.

– Co to za przeszkody? – pytam. – O co chodzi?

– Nie chcieli wdawać się w szczegóły. Reszty dowiesz się, jeżeli się zgodzisz.

Nad moją głową krąży jastrząb. Nagle staję się czujna, jakbym była tym niewidocznym stworzeniem, na które poluje ptak.

– Ile? – pytam wreszcie.

– Zaczęli od dwóch i pół. Ale skoro jemu zależy konkretnie na tobie, pewnie mogłabym wynegocjować więcej. Poza tym umowa przewiduje tantiemy, więc jeśli książka dobrze się sprzeda, a nie ma powodów, by sądzić, że mogłoby być inaczej, będzie dla ciebie stałym źródłem dochodów. – Milknie. – Może nie musiałybyś sprzedawać domu.

Jastrząb pikuje, a ja odwracam się z powrotem w stronę budynku, wspominając parę, która oglądała go zaledwie kilka dni temu. Wjechali na podjazd swoją cichą Teslą i ruszyli ostrożnie krętą ścieżką w kierunku drewnianych schodów prowadzących do drzwi wejściowych – on w drogich włoskich mokasynach na bosych stopach, ona z przyciśniętą do piersi torebką Hermès Birkin. Nie chciałam słuchać opinii potencjalnych nabywców, więc wyszłam, uśmiechając się do nich, i czym prędzej wsiadłam do samochodu. Zanim jednak zdążyłam odjechać, przez opuszczone szyby dobiegł mnie z góry głos tej kobiety. „To kompletna ruina”, oznajmiła tonem ociekającym pogardą.

Tego samego wieczoru moja agentka nieruchomości zadzwoniła, by mi przekazać, że nie złoży oferty, i zasugerowała, żebym opuściła cenę. Znowu.

– No dobrze – odpowiadam Nicole, wiedząc, że tego pożałuję. Zdając sobie sprawę, że ten projekt będzie się dla mnie wiązał z kosztami, których na razie nawet nie potrafię sobie wyobrazić.

– Dam im znać i zadzwonię do ciebie, gdy poznam wszystkie szczegóły.

– Kiedy on chce zacząć? – pytam.

– Spiesz się, więc podejrzewam, że jak najszybciej. Zamierzam tam pojechać jeszcze w tym tygodniu.

Rozłączamy się. Znowu spoglądam na kanion. Po jastrzębiu i jego ofierze nie ma śladu. Staram się to traktować nie tyle jako okazję, ile jako konieczność. Mój ojciec mawiał: „Nie użalaj się nad sobą. Nie patrz wstecz”. Obiecuję sobie, że nie dam się wciągnąć w jego plan, jakikolwiek by był. Bo nie mam wątpliwości, że ta książka to pułapka – mój ojciec produkuje powieści od kilkadziesiątu lat i z całą pewnością nie potrzebuje do tego mojej pomocy. Postanawiam uznać tę propozycję za zło konieczne, coś, co pozwoli zamknąć obecną fazę mojego życia, powstrzymać przychodzące codziennie na komórkę powiadomienia o debecie. Spłacić Johna Caldera i prawnika. I może jeszcze doprowadzić do jakiegoś domknięcia relacji z kimś, kto zawsze był dla mnie właściwie obcy.

Mimo wszystko w wieku czterdziestu czterech lat i po prawie trzydziestoletniej nieobecności wreszcie wracam do domu.